



K . A . K I S I E L - C I C H O C K A

P A N I K

Rozdział 4

– No, postaraj się. Na pewno pamiętasz – zachęcił profesor studentkę.

Dziewczyna, ubrana w króciutką mini i szeroki dekolt wyraźnie się nie przygotowała do egzaminu ustnego. Profesor Sutterson pokręcił głową i miał już wstawić dwóję do indeksu, gdy dziewczyna zerwała się na równe nogi.

– Ale ja jestem przygotowana! – zakrzyknęła i trochę podwinęła spódniczkę.

– Dobrze, to odpowiedz na moje pytanie – powiedział spokojnie profesor.

Dziewczyna zalała się łzami i usiadła.

– Zapraszam w drugim terminie – oddał jej indeks z wpisaną ołówkiem oceną. – Mam gumkę, to wymarzymy tę dwóję.

Studentka uśmiechnęła się szeroko, podziękowała i wyszła z gabinetu. Sutterson zamknął na chwilę oczy wsłuchując się w błogą ciszę. Po czym wyjrzał przez okno, żeby zobaczyć rozświetlony latarniami kampus. Sesja zajmowała za dużo cennego czasu. Podeszedł do tablicy i dopisał kolejną linijkę obliczeń. Zerknął na zegar na dziedzińcu i skreślił fragment wyliczeń. Pisał coraz szybciej i stawał coraz mniejsze znaki. Skończył linijkę. Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – powiedział odkładając kredę.

– Dzień dobry, mogę jeszcze na egzamin? – do środka zajrzała kolejna studentka.

– Oczywiście, zapraszam – uśmiechnął się z ulgą. – Może herbaty?

– Nie... Dziękuję, ja tylko na... egzamin...

– Dobrze, tak, tak. Siadaj proszę. Daj indeks.

Studentka podała poplamiony kawą i czymś tłustym indeks.

Oboje usiedli po przeciwnych stronach biurka. Sutterson złapał za długopis i od razu wpisał piątkę.

– Opowiedz mi, czemu zdecydowałaś się studiować matematykę?

– zapytał z szerokim uśmiechem. Nie kojarzył dziewczyny, więc prawdopodobnie nigdy nie pojawiła się na jego wykładzie.

– Bo to królowa nauk!

Mimo bolącego frazesu, profesor dalej się uśmiechał.

Podpytał dziewczynę o plany na przyszłość. Czy w jakiś sposób były związane z tą królową nauk. Niestety studentka planowała po studiach wyjść za mąż i już nie pracować, ale hobbystycznie będzie śledziła jego publikacje.

Pokiwał głową udając uznanie. Niech myśli, że mu schlebia.

– No dobrze, a jak ci się jak na razie studiuje?

– Bardzo dobrze, tylu ludzi poznaję. Na uczelni jest więcej osób niż w mojej wsi.

– W wielkim świecie jest ich jeszcze więcej. A liczb jest

jeszcze więcej i są jeszcze piękniejsze...

– Panie profesorze, czy wszystko w porządku? – zdziwiła się studentka.

– Tak, tak. No dobrze, nie będę marnował twojego czasu. Proszę – podał jej indeks.

Dziewczyna rozpromieniła się. Podziękowała po stokroć i wybiegła błyskawicznie z gabinetu.

Profesor chciał ją jeszcze na chwilę zatrzymać, ale nie mieli o czym rozmawiać. No i studentki już dawno nie było. Sutterson spojrzał na swoje wyliczenia i chciał wstać coś poprawić, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

– Wejść – warknął ostro.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Do środka weszła młoda dziewczyna w szarym płaszczu z kapturem.

– O. Kolejna na egzamin? – ucieszył się. – Daj indeks.

Dziewczyna rozpięła płaszcz i zdjęła kaptur. Zobaczył zdobiony pas i złapał się za koszulę. Westchnął, po czym uśmiechnął przyjaźnie do gościa.

– No dobrze. Chciałem porozmawiać – wskazał na swój fotel.

Rudowłosa skrzyżowała ramiona.

– Siadaj, klient prosi – rozkazał mężczyzna. – Mogę złożyć zażalenie, że nie przyszedł twój szef.

Ruda uśmiechnęła się lekko, ale spełniła jego prośbę.

– Szef ma pilne sprawy – rzuciła zdawkowo.

– Aha. A ja nie jestem pilną sprawą – profesor zacisnął pięści. – Mam ostatnią prośbę, a wiem, że możecie to zrobić.

Dziewczyna spojrzała na niego pytająco. Wstał i podbiegł do tablicy.

– Pomóż mi dokończyć ten wzór – złapał za kredę. – On musi być skończony. Bez tego uznam, że nie wypełniliście swojej części umowy.

Uśmiechnął się w duchu. Nad tym wzorem pracował bardzo długo i zaczynał sądzić, że nie będzie można go dokończyć.

Dziewczyna podeszła do tablicy i wskazała na początek.

– Założenia są błędne – powiedziała. – Poczekam pięć minut.

Profesor podszedł i przyjrzał się swoim obliczeniom. Wytarł początek, poprawił i odsunął się o krok. Całość zaczynała nabierać sensu. Zaczął poprawiać i uzupełniać. Pisał jak opętany. Dzieło życia. Tyle lat próbował stworzyć coś podobnego. Wzór ostateczny, który uplasuje go między Turingiem a Hawkingiem. Pisał. Byle skończyć. Tablica się skończyła, złapał za kartkę i pisał dalej. Postawił ostatnie zero.

– Skończyłem! – ucieszył się.

A potem zobaczył błysk noża. Bardzo dużego noża.

#

Kryśka kroiliła szynkę na maszynie. Plasterki za plasterkiem. Gdy skroiła ich odpowiednią ilość zabrała całość na wagę. Idealnie skrojone sto gramów. Zapakowała i nabiła na kasę.

– I jeszcze może żołądki – pani Natalia poprawiła torebkę na ramieniu. – Krysiu, słyszałaś już co się stało?

Dziewczyna pokręciła głową. Nałożyła porcję i spojrzała pytająco na klientkę.

– Starczy. No o zabójstwie profesora mówię! Przecież to był mój sąsiad! Taki dobry człowiek. Uczciwy i sprawiedliwy. Co za tragedia.

Krysia przytaknęła i zapakowała zakupy.

– To wszystko – uśmiechnęła się pani Natalia, po czym zapłaciła. – Straszna tragedia.

Krysia zerknęła na zegarek i chciała zamknąć, ale wszedł elegancki mężczyzna w czarnym płaszczu. Rozgladając się pogładził wąsa.

– Nie spodziewałam się pana u mnie w pracy – powiedziała Krysia cierpko. – Co podać?

– Pasztetowej.

– Ile?

– Osiemdziesiąt gram.

Krysia odkroiła jedno pęto i rzuciła na wagę. Wskazywała równo osiem i pół dekagrama. Dziewczyna spojrzała pytająco na mężczyznę.

– No nie, chodziło mi o równe osiemdziesiąt – pokręcił głową. – Gdy coś zlecam, to chcę, żeby wykonanie było adekwatne.

– Będzie bez szwa – burknęła dziewczyna i szybko odcięła

końcówkę, waga nawet nie drgnęła. Gdy Krysia zabrała odcięty fragment licznik zmienił się na osiem deko. – Zadowolony klient?

– Jak najbardziej – uśmiechnął się mężczyzna. – Dziękuję.

Wziął zakupy i wyszedł z masarni.

Krysia wreszcie mogła zamknąć sklep i wrocić do domu.

#

Glyjski zastanawiał się, czemu zaczął pracę w policji. O kumoterstwie i niskich zarobkach wiedział wcześniej. Nie powodowało nim żadne wewnętrzne poczucie sprawiedliwości, które po prostu musiał spełnić. Nie czuł też potrzeby niesienia pomocy.

Nie poszedł też do szkoły policyjnej z braku innych alternatyw. Jego ojciec był lekarzem, mógł spokojnie zdecydować się na akademię medyczną. Ale nie. Nie poszedł też w ślady matki, ekonomistki. Choć ciągnęło go zarówno do liczb jak i do ludzi. W jakiś sposób ubzdurał sobie, że połączy te dwie dziedziny właśnie pracą śledczego w policji. Jakim cudem, do tej pory nie rozumiał. A w pewnym momencie było już stanowczo za późno, żeby pomyśleć o zmianie. Myśleli wprawdzie z Susan o przeprowadzce, gdzie musiałby zaczynać od nowa, możliwe, że zupełnie zrezygnować ze służby, ale ostatecznie oboje już nie zdążyli.

A gdy po śmierci żony został sam, już nie miało sensu cokolwiek zmieniać. I tak minęły trzy lata w tym samym miejscu w ten sam sposób.

Sięgnął po wyblakłe zdjęcie na biurku. Jeszcze sprzed

wyroku, to jest wyników badań. Susan miała piękne włosy. Długie fale spływające po plecach. Pamiętał, jak płakała, gdy wycesała spore pasmo ze skroni. Jednak potem zacisnęła zęby, złapała za maszynkę i zgoliła całość. Chciał je schować do pudełka na pamiątkę, ale nie zdążył, bo wrzuciła je do kominka. Miesiąc później to jej trumnę wrzucili do pieca spalarni. Guz rozsiany, złośliwy, rokowania ostrożne, chemia może kupić trochę czasu albo go zabrać. W przypadku jego żony wydarzyło się to drugie.

Wrzucił zdjęcie do szuflady biurka i wrócił do przemowy na konferencji prasowej. Czemu Ważny ubzdurał sobie, że Glyjski będzie idealnym kozłem ofiarnym do rzucenia tym hienom z prasy? Mieli przecież rzecznika, młodego chłopaka o przyjaznej aparycji, wygadanego i takiego, którego się nie dało nie lubić. A Glyjski był jego przeciwieństwem. Nie lubił gadać z ludźmi, którzy zadawali pytania, w końcu to on był od tego, a nie oni. Nienawidził kamer, a one mu się odwdzięczały pięknym za nadobne. Nigdy nie wyszedł dobrze na żadnym zdjęciu do kroniki.

Ale był głównym śledczym prowadzącym najmodniejszą sprawę w tym roku, więc hieny z prasy nie zamierzały się zadowolić mordowaniem tylko i wyłącznie jakiegoś tam rzecznika. Chcieli mięcha. Ludzi związanych ze sprawą, ekspertów. A eksperci, ekspert dokładnie, nie wiedział co ma im powiedzieć. Co by nie powiedział, te szuje na pewno przekręcą jego słowa. Albo domyślą się więcej, niż powinni, co może uprzedzić mordercę. Chyba

najbezpieczniej będzie nie wspominać o ostatniej ofierze. W sumie to najlepiej by było nie wspominać o żadnej z ofiar, rzucić kilka nic nie znaczących frazesów, z którymi pismaki będą mogły robić co będą chciały bez wpływu na przebieg śledztwa.

Będzie musiał dobrać słowa tak, żeby nic nie powiedzieć, nie sugerując, że nic nie wiedzą. I tak naprawdę nic nie mają. Wdowa po Pruszko nic nie powiedziała. Prezerwatywa u Olfego wykazała tylko, że jego sprzątaczką była kimś więcej niż sprzątaczką, a profesor zaliczył w pierwszym terminie pierwszej studentce od początku swojej kariery. Ale stworzył też jakieś wyliczenia, za które ma otrzymać pośmiertne odznaczenie. Podobno dzięki niemu za kilkanaście lat technologia będzie zupełnie inna niż obecnie i to w tak niewyobrażalny sposób, w jaki ludzie sprzed wieku patrzyliby na obecne udogodnienia. Ale dalej brakowało związku między ofiarami. Komu i w jaki sposób podpadli, żeby załapać się na tak szybką śmierć i bezczeszczenie zwłok. Glyjski znowu był skłonny uwierzyć w jakąś sektę, do których często zapisywali się znani i bogaci, ale tak bardzo mu to nie pasowało, że chował myśl na końcu głowy. Prędzej uwierzyłby w Świętego Mikołaja. Choć nie wyrzucał tej myśli całkiem z głowy, ale tylko po to, żeby nie zafiksować się na jakiejś innej, w jakikolwiek sposób prawdopodobnej hipotezie. Taka hipoteza mogłaby zamknąć mu drogę do prawdziwego rozwiązania. Które przecież musiało istnieć. Ktoś tych ludzi mordował. Zawsze nożem. I zawsze zabierał ofiarom lewe

oko. Zawsze też nie zostawiał po swojej obecności żadnych śladów, mimo że inni w otoczeniu ofiar zostawiali tych śladów aż nadto. W jaki sposób działał morderca? No i przede wszystkim, w jaki sposób dobierał ofiary? Każdy z nich był zupełnie inną osobą, z innej branży, dziedziny i sfery kulturalnej i społecznej życia. Dwóch biznesmenów wprowadzie się powtórzyło, ale tak, to każdy z zamordowanych mężczyzn zajmowało się czymś innym od pozostałych.

– Zawsze mężczyźni... – myślał nad tym wiele razy, ale nic to nie sugerowało. Cięcia były proste i dokładne, ofiary ginęły w kilka chwil, praktycznie nie czując bólu. Nie mogli nawet sprecyzować płci mordercy, co podkreślała prasa nadając mu to niefortunne określenie. Oczko. Bo wycinał oczy.

– Cholerny psychopata wycina ludziom w oczy, a te pieprzone hieny nazywają go jak gra w karty. Nie pomyślą nawet o rodzinach ofiar. Jak się młoda wdowa po Pruszek ma czuć, gdy w gazetach czyta, że jej ukochanego męża na tamten świat wysłał jakieś popierdalone "Oczko". Ludzkie życie to nie gra!

Zamknął się i zapisał to zdanie. Przyczepił karteczkę na środku tablicy korkowej, tuż nad mapą miasta. Niewiele materiałów doczepił, bo wszystkie stare notatki mu nie leżały, ale to zdanie jakoś tak mu podpasowało.

– Dużo ci zostało? – do środka zajrzał inspektor Ważny. – Tak bardzo przeżywasz to wystąpienie? Napisz szkic, a Bartek go wygładzi, tylko się pośpiesz, żeby miał czas popracować.

– Zaraz skończę – odburknął Glyjski i wrócił do pisania.

Powinni ustalić przemowę całym zespołem, a nie on sam ma pisać jakieś durne teksty, które i tak napisze od nowa ktoś inny. Bezsensowna praca, która nic nie wniesie do sprawy. A nawet odwrotnie, bo odciąga go od robienia tego, co powinien. Po co miałby występować przed prasą? Żeby to on zrobił z siebie pośmiewisko, a nie Ważny? Bo Ważny nie mógł okazywać niekompetencji, żeby nie zaszkodzić wizerunkowi swojego ojca? A Glyjski jest tylko zwykłym komisarzem, można go zdegradować, jak opinia publiczna będzie niezadowolona z wyników pracy policji. Ba. Można nawet go wywalić na zbity pysk i nikomu nie zrobi to różnicy. No, może poza samym Glyjskim. Ale kto go będzie pytał o zdanie? Spojrzał na swój tekst i pokiwał głową zadowolony. Wystarczająco mało o sprawie, wystarczająco dużo o niekompetentnej prasie. Zadowolony z siebie wysłał tekst do wglądu inspektora, żeby przekazał Bartkowi do wygładzenia, poprawienia, a potem do wygłoszenia.

Zaśmiał się cicho. Wygłoszenia przez niego samego, bo kto by Bartkowi kazał kompromitować się w tak źle prowadzonej sprawie. Pismaki od początku były nieprzychylne policji i utrudniały robotę. Ale gdy liczba ofiar osiągnęła piątkę, coś pękło. Ludzie zaczęli rządać wyników. Bogaci i wpływowi zaczęli uciekać z miasta, pozabierali rodziny i przyjaciół. Podnajęli prywatne ochrony. Jeden z biznesmenów pokroju Olfego sprzedał swój

startup, równie obiecujący, co ten Olfego, a za zdobyte pieniądze wybudował fortecę, w której się zamknął. Do tej pory Glyjski nie mógł zmusić go do rozmowy czy nawet spotkania. Nie miał podstaw, żeby wymusić nakaz, a przedsiębiorca sam z siebie nie zamierzał wyściubić nosa ze swojego domu. Mimo że innym niewiele pomogło siedzenie w domu.

Glyjski robił wywiad środowiskowy, żeby poszukać przyczyn paranoi, ale poza sianą przez prasę właśnie paranoją, niczego nie znalazł. Bo biznesmen nie znał żadnej z ofiar, nie wiedział też, co mogło spowodować, że sprowokowali mordercę, a poza tym on dbał tylko o swoją córkę. Przez kłamstwa prasy nawet najbardziej zdesperowani nie zgłosili się do policji o dodatkową ochronę. Nikt nie wydawał się mieć jakiegokolwiek związku z ofiarami czy mordercą. Nikt nie wydawał się być zagrożony kolejnym atakiem i nikt nie ufał policji, że zdoła go obronić. Wszyscy chcieli tylko wyników, nie rozumiejąc, że policja też nie może mówić, co robi, żeby nie ostrzec mordercy. Jeszcze tego by im brakowało, żeby zwyrodnialec zmienił metody, żeby przez kilka kolejnych ofiar zastanawiali się, czy ten sam, czy inny, zamiast szukać jednej osoby. O ile to była jedna osoba.

Glyjski wybrał numer i zadzwonił do prosektorium.

Gdy tylko usłyszał połączenie, rozłączył się i wstał. Zabrał swój płaszcz i wyszedł zostawiając włączone światło. To był znak dla innych, że wróci, będzie dalej pracował. Nieważne były normy

prawa pracy, skoro gdzieś po jego mieście chodził wśród zwykłych obywateli morderca. Człowiek chory i zdolny do wszystkiego. Człowiek, który zabrał młodej Pruszkó kochającego męża akurat, gdy oboje mogli znowu być szczęśliwi. Albo zabrał z tego świata Olfego, prezesa świetnej firmy, który wygrał w całe życie. Albo zabrał światu nauki wybitnego naukowca Suttersona, w dniu, w którym tamten dokończył najważniejsze odkrycie przynajmniej tego dziesięciolecia, o ile nie wieku. A jeśli ten geniusz byłby w stanie wymyślić coś jeszcze? A jeśli Olfe wszedłby we współpracę z Suttersonem i wykorzystał w sposób praktyczny jego wyliczenia? Świat byłby może dużo lepszy. Na pewno byłby lepszy dla Jadwigi Pruszkó, która czuła słodko-gorzki smak zwycięstwa nad śmiertelną chorobą. Co z tego, że była zdrowa, jak nie miała z kim cieszyć się ze swojego zdrowia, bo jakiś pokrecony umysł stwierdził, że zabierze jej część tego szczęścia. Najważniejszą tak właściwie część tego szczęścia.

Glyjski zacisnął dłoń na łańcuszku na szyi. Dwie obrączki znowu zaczęły mu ciążyć. Wielokrotnie starał się je odłożyć, ale nie mógł. Czuł, że jest to winny Susan. Podczas gdy żyła, nigdy swojej obrączki nie nosił. Założył ją tylko na ślubie. A tak właściwie, to właśnie Susan mu ją założyła. Wcisnęła na siłę, bo pierścionek był za mały o dwa rozmiary, bo jubiler pokpił sprawę i źle zdjął miarę z jego palca. Albo to on wystawił zły palec do wzięcia tej miary. W każdym razie w kościele, gdy nakładali sobie

obrączki Susan cedząc przez zęby przysięgę małżeńską wcisnęła krążek z całej siły na palec. Całe wesele jakoś z nim chodził, a potem trzeba było go interwencyjnie ściągać. Na szczęście udało się bez rozcinania złota, ani odcinania palca. Wystarczyło dobrze schłodzone piwo i spora ilość mydlin. Potem ciągle zapominał oddać obrączkę do poszerzenia, a ostatecznie okazało się, że nie powinien nosić jej na palcu. Więc wylądowała razem z tą bliźniaczką, ale mniejszą o kilka rozmiarów na łańcuszku na szyi. I od tamtej pory była jego amuletem, gdy potrzebował siły w pracy i w życiu. A w przypadku sprawy "Oczka" potrzebował jej wyjątkowo dużo. Choć wolałby mieć przy sobie Susan, a nie tylko i wyłącznie amulat po niej. Mimo że nie popierała jego pracy, nie chciała, żeby się narażał, to starała się go zawsze wspierać. A na pewno nie przeszkadzać.

Ale teraz był sam. Do tej pory nie pogodził się ze stratą Susan. Była dla niego więcej niż wszystkim. W momencie gdy pojawiły się pierwsze objawy, cieszyli się myśląc że jest w ciąży. Jak bardzo się zawiedli, gdy okazało się, że jednak nie. Jak bardzo byli przerażeni, gdy okazało się, że to rak. A załamanie przyszło, gdy okazało się, że jest złośliwy. On bardziej się złamał od niej. Zawsze była silniejsza od niego. Dużo silniejsza. Dlatego po tylu latach dalej czerpał od niej siłę. Dawno by się załamał psychicznie, gdyby nie wsparcie nieobecnego anioła, drobnej żony, którą do tej pory ubustwiał.

Choć na cmentarzu nie bywał, żeby nie napatoczyć się na teściów, którzy jego obwiniali o jej śmierć. Nie dziwił im się, bo sam by to zrobił, gdyby nie pragmatyzm i rozsądek.

<<<<>>>>